



Kryminał z myszką

35

Zielone i złote

Albert Wojt

Albert Wojt

ZIELONE I ZŁOTE

Kryminał z myszką – Tom 35

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67562-04-1

Copyright © Wojciech Sadrakuła

Tekst: Bellona, Warszawa 1991 (Labirynt)

I

Koła zaturkotały nierówno na rozjazdach, zapiszczały hamulce i pociąg wtoczył się ciężko na stację. Spikerka kończyła właśnie niemal sakramentalną formułkę o opóźnieniu, ale w tej chwili mało kto zwracał na nią uwagę. Na peronie zrobiło się tłoczno. Podróżni opuszczali spieszenie wagony, oczekujący szukali swoich bliskich, gorączkowo biegając w tę i z powrotem wzdłuż całego składu.

Jako jeden z ostatnich wysiadł wysoki, barczysty blondyn w skórzanej kurtce. Nie wyglądał na więcej niż na trzydziestkę, choć dobrze już widoczne zaczątki łysiny postarzały go nieco. Przez dłuższą chwilę stał niezdecydowany, rozglądając się bacznie dookoła, nigdzie jednak nie dostrzegł nikogo znajomego. W końcu musiał uznać, że nie warto dłużej czekać, bo w ślad za innymi ruszył w kierunku wyjścia do miasta.

Mimo że nie było jeszcze południa, Warszawa powitała Kałuckiego tłumem śpieszących we wszystkich kierunkach przechodniów. W pierwszym momencie zakreśliło mu się w głowie od spalin i hałasu wszelkiego rodzaju pojazdów, mimo wszystko poczuł jednak rozpieszczającą go radość. Oto po trzech latach wrócił wreszcie na stare śmiecie.

Na przystanek podjechał zatłoczony autobus. Michał nie żałował łokci, by wepchnąć się do środka. Pragnął jak najszybciej znaleźć się w domu. W tej chwili potrafił myśleć już tylko o Ewie i prysznicu.

Niespełna pół godziny później był na Mokotowie. Wysiadł z autobusu, minął dwie przecznice i skręcił w tę właściwą. Z daleka dostrzegł otwartą bramę swej kamienicy. Odruchowo przyspieszył kroku, ale w tym samym momencie poczuł na ramieniu czyjąś ciężką rękę.

– Znowu się widzimy, Kałucki? – Tęgi, szpakowaty dzielnicowy w mundurze z dystynkcjami sierżanta popatrzył na Michała z nie ukrywaną niechęcią. – Przecież brakuje wam jeszcze trochę do końca wyroku.

– Puścili mnie warunkowo.

– Kto by pomyślał! – w głosie policjanta zabrzmiała nuta wyraźnej dezaprobaty.

– Chce pan zobaczyć kartę zwolnienia?

Kałucki sięgnął do kieszeni po dowód osobisty. W środku tkwił równo złożony urzędowy druczek, opatrzone świeżymi jeszcze pieczęciami. Dzielnicowy przestudiował go uważnie, ale choć nie mógł niczego zakwestionować, jego stosunek do Michała nie zmienił się ani na jotę.

– Niby w porządku – przyznał niechętnie. – A swoją drogą ciekawe, za ile miesięcy wróćcie do Rawicza?

– Nie ma obawy. – Po twarzy Kałuckiego przemknął nikły uśmiešek. – Odsiedziałem równe trzy lata i starczy. Więcej mnie tam nie zobaczą.

– Może się założymy?

Michała aż świerzbili język, by odpysknąć, w ostatniej chwili zdołał jednak powstrzymać się. Bez słowa odebrał kartę zwolnienia i puścił mimo uszu kolejną cierpką uwagę sierżanta. Taka taktyka okazała się słuszną. Dzielnicowy dał w końcu za wygraną i burknawszy pod nosem, że będzie mieć na wszystko oko, ruszył w swoją stronę.

Ciemna, wymalowana na bliżej nieokreślony kolor klatka schodowa wyglądała dokładnie tak samo jak przed trzema laty. Przeskakując po kilka stopni Kałucki wbiegł na drugie piętro. Zauważył, że ktoś zerwał wizytówkę z drzwi jego mieszkania, ale nie przejął się tym zbyt. Niecierpliwie nacisnął dzwonek. Odczekał chwilę, nie było jednak żadnej reakcji. Poczł nieprzyjemny skurcz w gardle. Ewa nie czekała na niego, a przecież napisał jej, że wraca.

Sięgnął po klucze. Zgrzytnęła nie oliwiona od dawna zasuwka i drzwi stanęły otworem. Michał wszedł do środka. W pierwszym momencie nie mógł uwierzyć własnym oczom. Regał, krzesła i wersalkę pokrywała gruba warstwa kurzu, lampę zasnuwała ogromna pajęczyna, a białe ongiś firanki nabrały burego zabarwienia. Po dywanie i kolorowym telewizorze nie zostało nawet śladu, w kuchni brakowało lodówki. Zajrzał do szafy, jego rzeczy leżały w nieładzie, tak jak je zostawił, za to półki zajmowane przez Ewę świeciły pustką.

Przez dłuższą chwilę stał bezradnie pośrodku pokoju, nie mogąc zrozumieć, co się właściwie stało. Nie tak wyobrażał sobie swój powrót. Co prawda w odpowiedzi na długie listy otrzymywał jedynie pocztówki ze zdawkowymi pozdrowieniami, a i te ostatnio przestały nadchodzić, ale w najczarniejszych przewidywaniach przez myśl mu nawet nie przeszło, że Ewa zostawi go tak bez słowa wyjaśnienia. Zrezygnowany opadł na wersalkę. Czuł się niczym balon, z którego uszło właśnie powietrze.

Kolejny raz przemknął bezmyślnym spojrzeniem po zgromadzonych w pokoju sprzętach. Nagle jego wzrok zatrzymał się na regale. Skojarzenie podziałało niczym dzwonek alarmowy. W nieoczekiwanym przypływie energii Michał poderwał się z wersalki, odsunął regał od ściany i namacał w podłodze odrobinę luźniej dopasowaną klepkę. Drżącymi ze zdenerwowania rękami spróbował ją podważyć, minęła jednak dłuższa chwila, nim wreszcie udało mu się otworzyć skrytkę. Zajrzał do środka i zmełł w ustach przekleństwo. Skrytka była pusta.

Z ciężkim westchnieniem przesunął regał na miejsce i wrócił na wersalkę. O istnieniu skrytki nie wiedziała nawet Ewa, nie znaleźli jej podczas rewizji policjanci, a jednak zawartość w postaci paru odłożonych na czarną godzinę złotych pięciodolarówek ulotniła się gdzieś bez śladu. Kałucki sam nie wiedział, co o tym myśleć. Na dobrą sprawę nie pozostawało mu nic innego, jak pogodzić się z kolejnym szturchańcem losu na samym starcie do nowego życia.

Minął dobry kwadrans, nim otrząsnął się z ogarniającej go apatii. W końcu samotne przesiadywanie w pustym mieszkaniu nie miało najmniejszego sensu. Podniósł się z wersalki i bez pośpiechu ruszył do wyjścia.

Sąsiednie drzwi na klatce schodowej również nie miały wizytówki. Kałucki zastukał. Chwilę później szczerknął zamek i w progu pojawiła się niewysoka, szczupła blondynka w znoszonych dżinsach i obcisłym sweterku. Sądząc z wyglądu, ledwo przekroczyła dwudziestkę.

- Pan do mnie? – Popatrzyła na Michała niepewnie.
- Prawdę powiedziawszy, to do pani Wrotnickiej – wyjaśnił. – Nie zastałem jej w domu?
- To pan nie wie? – Po twarzy dziewczyny przemknął cień. – Ciotka nie żyje.
- Nie żyje?
- W styczniu dostała zawału.
- Bardzo mi przykro.
- Pan był znajomym ciotki?
- Mieszkam tu, po sąsiedzku. – Wskazał swoje drzwi.
- Sprowadziłam się blisko dwa miesiące temu, a jeszcze pana nie widziałam.
- Przez dłuższy czas przebywałem poza Warszawą.
- Ach tak!
- Przepraszam za najście. – Kałucki uznał, że lepiej się wycofać. – Nie będę już dłużej zawracał pani głowy.
- Do widzenia.

Trzasnęły drzwi i Michał nie oglądając się ruszył schodami w dół. Tym razem klatka schodowa nie była pusta. Przy wyjściu na ulicę dostrzegł brzuchatego, czerwonego na twarzy blondyna koło pięćdziesiątki.

– Moje uszanowanie, panie Bolku! – Widok dozorca szczerze ucieszył Kałuckiego.
– Kogo ja widzę?! – Również i Ziętarek uśmiechnął się szeroko. – Puścili pana, panie Michale?

– Nie mogli mnie przecież trzymać do sądu ostatecznego.
– Co racja, to racja – zgodził się dozorca. Ale trochę pan zmizerniał.
– Na tamtym wikcie i pan nabrałby linii.
– Najważniejsze, że ma pan to już za sobą.
– Trochę zmieniło się na naszej klatce – Kałucki wołał nie podtrzymywać tematu. – Podobno Wrotnicka umarła.

– Afera była nie z tej ziemi – Ziętarek konfidentycznie zniżył głos. – Starsza pani źle się poczuła i moja Anitka zadzwoniła po pogotowie. Czekałszy ze dwie godziny, nim przyjechał taki młody w białym kitlu. Ledwo spojrzał na Wrotnicką, powiedział, że to grypa, i tyleśmy go widzieli.

– Grypa? Ja słyszałem, że serce.
– Tak okazało się następnego dnia rano, jak wtedy starsza pani potrzebowała już tylko księdza.

– Szkoda Wrotnickiej.
– Teraz mieszkanie po niej zajęła siostrzenica, Lidka Mirska. Trochę postrzelona, ale miła dziewczyna.
– Właśnie miałem okazję ją poznać.
– I co pan powie, panie Michale? Prawda, że niczego sobie?
– Podobna do Ewy, tyle że blondynka. A właśnie! – Kałucki zdecydował się zadać najbardziej nurtujące go pytanie. – Nie wie pan, co się dzieje z Malińską? W domu jej nie ma, zabrała wszystkie swoje rzeczy i nawet nie zostawiła wiadomości, gdzie jej szukać.
– Wiele panu nie pomogę. – Dozorca bezradnie rozłożył ręce. – Bogiem a prawdą dawno jej nie widziałem.

– Kiedy się wyprowadziła?
– Niedługo po pańskim procesie. Później od czasu do czasu wpadała jeszcze po listy, ale te ostatnie już sam musiałem wyjmować ze skrzynki. Pan zajrzy do mnie, to panu oddam.
– Może innym razem. – Michał nie potrafił ukryć ogarniającego go rozdrażnienia. – W końcu to nic pilnego. Niezgorzej jeszcze pamiętam, co do niej pisałem.
– Rozumiem – Ziętarek nie nalegał. – Śpieszno panu zobaczyć się ze starymi kumplami?

– Mam to i owo do załatwienia.
Kwadrans później Kałucki znowu wsiadał do autobusu. Tym razem zdecydował się pojechać na Sadybę. Był trochę niespokojny. Zdawał sobie sprawę, że od czekającej go rozmowy z Grąbielą może wiele zależeć, a przykre doświadczenia po przyjeździe do Warszawy napawały go obawą, czy aby nie zadziała prawo serii.

W miejscu starego parterowego drewniaka przy ulicy Okrężnej, który pamiętał sprzed trzech lat, stała teraz okazała piętrowa willa. Nie urządzonej jeszcze ogródek świadczył wymownie, że budowlani wynieśli się stąd stosunkowo niedawno.

Michał zatrzymał się przed furtką z fantazyjnie powyginanych metalowych prętów. Chwilę później cichy brzęczyk oznajmił mu, że może wejść. Na stylizowany ganek prowadziły szerokie schody wyłożone czerwoną terakotą. Kałucki dotarł właśnie do ich szczytu, kiedy skrzypnęły ciężkie, dębowe drzwi i w progu pojawił się niewysoki, szczupły mężczyzna o rudawej czuprynie.

– Kopę lat, Michałku, kopę lat! – Bugajewski podał Kałuckiemu wąską, kościstą dłoń. – Puścili cię?

– Jak widzisz.

– To dobrze, to bardzo dobrze. Tolek często mówił, że bez ciebie jak bez ręki.

– Miło z jego strony.

– Wszyscy cholernie się ucieszą, a Tolek już zadba, żebyś nie narzekał na brak zajęcia.

– Planujecie jakąś robotę?

Bugajewski nie odpowiedział. Wymownym gestem zaprosił Michała do środka, zatrzasnął za nim drzwi i z obszernego, lśniącego świeżą jeszcze farbą holu pomaszerowali schodami na pierwsze piętro. Po chwili znaleźli się w pokoju mającym pełnić funkcję gabinetu, o czym świadczyło stylowe biurko i trzy obite skórą fotele. Z jednego z nich poderwał się wysoki, tęgi szatyn koło pięćdziesiątki. W pierwszym momencie Kałucki nie mógł uwierzyć własnym oczom. Pierwszy raz zobaczył Grąbielę w garniturze i krawacie.

– Serwus, Tolek! – Michał ze zdumieniem pokręcił głową. – Zrobiło się z ciebie cholerne panisko!

– Postawiłem sobie przyzwoitą chałupę, chodzę ubrany jak człowiek, to i łatwiej mi robić interesy.

– Wycofałeś się z branży?

– Raczej poszerzyłem zakres swych zainteresowań – sprostował Grąbiela.

– Ty zawsze miałeś głowę.

– Jureczku, nalej nam po szklaneczce. – Gospodarz wskazał Bugajewskiemu stojący w kącie gabinetu barek.

– Trzeba przecież uczcić szczęśliwy powrót naszego przyjaciela.

– Już się robi! – Rudzielca nie trzeba było dwa razy prosić. – Co wolicie, whisky czy koniak?

– Nie ma czystej?

– Napijemy się poloneza – zdecydował Grąbiela.

– Prawdę mówiąc ja też nie lubię tych perfumowanych paskudztw.

Bugajewski napełnił trzy angelki i każdy bez ociągania się chwycił swoją. Po trzech latach przymusowej abstynencji wódka zapiekła Kałuckiego niczym ogień, tak że ledwo zdołał przełknąć zawartość szklaneczki. Poczuł, że miękną mu nogi w kolanach, i ciężko opadł na fotel. Na szczęście po kilku sekundach doszedł do siebie, a co ważniejsze świat zaczął mu się jawić w nieco jaśniejszych barwach.

– Powtórzmy na drugą nóżkę – zaproponował Bugajewski.

– Dobra wódka nie jest zła – sentencjonalnie zauważył Michał. – Możemy powtórzyć.

– Nalej, Jureczku, nalej! – podchwycił Grąbiela – Nie będziemy sobie żałować.

Po chwili angelki znowu zostały napełnione. Tym razem Kałucki ograniczył się do niewielkiego łyku. Picie nie szło mu już tak opornie, ale przypomniawszy sobie, że przyszedł tutaj, by załatwić konkretną sprawę, a nie z kurtuazyjną wizytą.

– Musimy pogadać – zaczął, zwracając się do Grąbieli. – Jesteś mi coś niecoś winien.

– Zgadza się – gospodarz nie oponował. – Zaraz się rozliczymy.

– Po wyjściu z pudła człowiek ma spore wydatki.

– Oddam ci wszystko co do grosza... Ma się rozumieć po odliczeniu poniesionych przeze mnie kosztów.

Grąbiela odstawił swoją szklaneczkę i podszedł do biurka. Otworzył kluczykiem jedną z szuflad. Przez dłuższą chwilę szukał w niej czegoś, w końcu wyciągnął ze sztywnej, brązowej koperty kilka kartek zapisanych równym ręcznym pismem.

– Księgowy nie policzyłby tego dokładniej – oznajmił z niekłamanym zadowoleniem. – Wszystko zgadza się co do grosza.

– Co tu przelewać z pustego w próżne. – Michał poczuł cień niepokoju. – Dawaj moją dolę i po kłopocie.

– Coś taki w gorącej wodzie kąpany. – Anatol starannie rozłożył wyjęte kartki. – Najpierw posłuchaj, co mam do powiedzenia, żeby później nie było żadnych nieporozumień.

– Z odpisu mojego wyroku wynika, że zrobiliśmy skok za dziewięć i pół miliona złotych. Przy dzisiejszych cenach biżuterii należy mi się worek pieniędzy.

– Gdybym trzymał to złoto aż do dzisiaj – odpowiedział gospodarz. – Sęk w tym, że forsa była potrzebna trzy lata temu.

– Za ile sprzedawałeś fanty?

– Za równe sześć melonów. To i tak była dobra cena jak na pasera.

– Z podziału wypadałoby po dwa miliony na głowę.

– Dokładnie tyle – zgodził się Grąbiela. – Niestety, miałeś pecha i drapnęły cię gliny.

– Gdybym sypnął, również i ty z Jurkiem trafilibyście za kratki.

– Na szczęście nie wpadłeś na ten idiotyczny pomysł i mogliśmy załatwić ci dobrego adwokata.

– Z tego wszystkiego zapomniałem pogadać z nim o należności za usługę.

– Pan mecenas miał lepszą pamięć i musiałem wypłacić mu łącznie czterysta patoli.

– Nie żartuj! – Kałucki aż podskoczył. – Trzy lata temu była to kupa pieniędzy.

– Pozwól sobie przypomnieć, że prokurator chciał cię zapuszkować na osiem lat, a ty dostałeś cztery i pół, z czego odsiedziałeś tylko trzy. Per saldo chyba się opłaciło.

No dobrze – tym razem Michał ustąpił bez dalszych protestów, – Rzeczywiście był to konieczny wydatek.

– Jedźmy dalej. – Anatol zerknął na kolejną kartkę.

– Chyba przynasz, że paczki dostawałeś regularnie.

– Myślałem, że przysyłała je Ewa.

– Dobrze sobie! – zachnął się Anatol. – Twoje dożywianie kosztowało mnie trzy stowy. Dwieście potraktujmy jako prezent, ale setkę proponowałbym odpisać od rachunku.

– Razem daje to pół miliona – westchnął Kałucki.

– No cóż, jakoś przeżyję, jeśli poczuję w kieszeni pozostałe półtora.

– Zapomniałeś o Malińskiej.

– Nie rozumiem.

– Przecież przysłałeś gryps, żeby się nią zaopiekować.

– Niby prawda.

– Początkowo wypłacałem Ewie po dwadzieścia, trzydzieści tysięcy, ale kiedy ceny skoczyły, jej stawka musiała wzrosnąć stosownie do inflacji.

– Ile kosztowała mnie ta przyjemność? – Michał wyraźnie się zaniepokoił. – Nie powiesz chyba, że Ewka wyciągnęła od ciebie kolejne pół miliona?

– Chłopie, na jakim świecie ty żyjesz? Dzisiaj pół melona to mało na kolację w lepszej knajpie.

– Ile wzięła Malińska?! – Kałucki ponowił pytanie, czerwieniejąc na twarzy. – No, gadaj!

– Dokładnie: milion czterysta pięćdziesiąt tysięcy.

– Jasna cholera! Przecież z tego wynika, że dla mnie gównie zostało!

– Nie da się ukryć.

– Trzy lata odsiadki dla głupich pięćdziesięciu tysięcy!

– Takie jest życie.

– Na dokładkę ta pieprzona dziwka ulotniła się gdzieś bez śladu.

– Dała nogę? – Grąbiela wyglądał na zdziwionego. – Ostatni raz była u mnie jakieś dwa tygodnie temu. Pytała, kiedy cię puszcza i ile mi zostało twoich pieniędzy.

– Bodajby ją szlag! – Michał zgrzytnął zębami w bezsilnej złości. – Jeszcze mnie popamięta, niech no tylko wpadnie w moje ręce!

Anatol bez słowa sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął z niej pękaty portfel. Przez dłuższą chwilę bezskutecznie poszukiwał właściwego banknotu. W końcu odliczył pięćdziesiąt tysięcy w drobniejszych odcinkach i chciał podać pieniądze Kałuckiemu, ale ten nawet na nie nie spojrzał.

– Lepszy rydz niż nic – bardziej do siebie niż do Michała bąknął Bugajewski. – Na dwie połówki by wystarczyło...

Kałucki zmierzył go pełnym nienawiści spojrzeniem, nie jednak nie odpowiedział. Po pierwszym wybuchu przyszło mu do głowy, że Grąbiela wcale nie musiał powiedzieć całej prawdy. Było wielce prawdopodobne, że radykalne uszczuplenie swych zasobów finansowych zawdzięczał nie tylko inflacji i Malińskiej.

– Zapalisz? – Anatol podsunął Michałowi paczkę marlboro.

Kałucki przecząco pokręcił głową i zaraz potem sięgnął do kieszeni po swoje popularne. Przez kilka sekund wahał się jeszcze, w końcu uznał jednak, że nic nie ma do stracenia. Zaciągnął się dymem i spojrzał twardo w oczy Grąbieli.

– To nie jest w porządku, żebyś kiblował za frajer tyle czasu, kiedy ty jak gdyby nigdy nic stawiałeś sobie nową chałupę – wycedził przez zęby.

– Czy to moja wina, że Ewka skubnęła cię na grubszą forszę?

– Uważaj, Tolek! – Kałucki ostrzegawczo zmarszczył brwi. – Ja już swoje odsiedziałem za skok na tego jubilera, a ty z Jurkiem jeszcze nie.

– Grozisz?! – Bugajewski ostentacyjnie wsunął rękę do kieszeni marynarki. – Żebyś się tylko nie przeliczył!

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI